Nr. 25. Lwów dnia 20. Lipca 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. kwartalnie 1 tal. 8 sgr. we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr. Numer pojedynczy 20 ct. Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

ŚWIT

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnie J. Wilda i A. Nowoleckiego, w Poznaniu księgarnia Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w „*Świcie*“ wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych.

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Ogłoszenie przedpłaty.

Z dniem 1go Sierpnia b. r. rozpoczyna się **nowy kwartał** naszego pisma, trwający do ostatniego Października. Upraszamy o **rychłe** ponowienie przedpłaty, ażeby według tego zastosować liczbę nakładu.

Świt wychodzić będzie w dotychczasowym formacie, tak, że na każdy numer wypadnie $1\frac{1}{2}$ arkusza druku.

Cena kwartalna wynosi	w Galicyi 2 złr. w. a.;	w Niemczech 1 tal. 8 sgr.;	we Francyi 6 fr.
„ półroczna	„ 4 „ „	„ 2 „ 15 „	„ 11 „
„ roczna	„ 8 „ „	„ 5 „ — „	„ 21 „

Prenumeratę należy przesyłać za przekazem pocztowym lub w listach frankowanych wprost do Redakcyi *Świtu:* Ulica Wałowa Nr. 19.

W przyszłym kwartale drukować będziemy obok rozpoczętej powieści *Michała Bałuckiego:* **„Między niebem a ziemią“** dalszy ciąg **„Kalejdoskopu“** *Berlicza Sasa*, którego druk przerwany został z powodu choroby autora; następnie bardzo ciekawy

„Pamiętnik damy polskiej XVIII wieku“
(Urszuli z Ustrzyckich Tarnowskiej),

obejmujący dzieje rozbiorowe i porozbiorowe kraju naszego, a spisany przez naocznego świadka, z mnóstwem zupełnie nowych szczegółów o tej ciekawej epoce;

w dziale poezyi dramat *Michała Beera:* **„Struensee“** w przekładzie wierszem *Władysława Bełzy;* poemat oryginalny *Władysława Ordona:* **„Garbus z Bononii,“** jakotęż przekład **„Nocy“** *Alfreda Musseta*, dokonany przez *tegoż*; przytem szereg poezyi mniejszych rozmiarów: *Władysława Bełzy, Ernesta Buławy, Teofila Lenartowicza, Adama Pajgerta, Stanisława Grudzińskiego* i innych;

rozprawy naukowo-literackie: dr. *Adama Bełcikowskiego:* **„O poezyi polskiej XIX wieku i jej wpływie na umysłowe i polityczne życie narodu,“** *Mieczysława Paszkowskiego:* **„O złych i dobrych stronach pozytywizmu,“** *Henryka Schmitta:* **„Duch i przyroda w dziejach,“** *Alfreda Szczepańskiego:* **„Tadeusz Kościuszko na tle najnowszych badań“** i inne;

„Listy o kwestyach społecznych“ dr. *Gustawa Roszkowskiego*, jakoteż **„Pogadanki o sprawach bieżących,“** przez jednego z najcelniejszych naszych publicystów.

Prenumeratorowie **nowi** otrzymają bezpłatnie początek drukującej się obecnie powieści: **„Między niebem a ziemią.“**

Lwów dnia 17. Kwietnia 1872.

Od redakcyi.

NA OKAZ.

MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ,

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

Siedziała w ogródku — w miejscu, z którego widać było biały gościniec obsadzony lipami.

Siedziała przy małym stoliku, na którym leżała porzucona robótka. Jedną rączką podpierała główkę, a w drugiej trzymała list otwarty, a oczy jej jak jaskółki przed burzą — to biegły ku białemu gościńcowi, to spadały znużone na list.

Miała na sobie sukienkę lekką, baryżową w gęste paseczki, przez które przeglądały białe ramionka. Na jasnych włosach kokardka niebieska przysiadła z boku jak motyl i przy każdym powiewie wiatru nachylała się ku czołu, jakby je całować chciała lub przyglądnąć się delikatnemu profilowi twarzyczki. Linie profilu były nadzwyczaj szlachetne i poważne, jakiś odcień smutku błąkał się wiecznie po tej twarzy, jak sierotka po kwiecistej łące i nie odbiegał z niej nawet w chwili, gdy się uśmiechała. I czarne oczy jej były również, jakby po świeżym płaczu wilgotne; a gdy mówiła lub nuciła piosenki przy robótce, głos jej był taki, że słuchającemu wyciskał łzy z oczów i rozrzewniał. Pomimo młodości i pogody, jakiś dziwny smutek, jak zaklęty duch, przebijał się przez śmiechy jej i pieśni. Przypominała przez to nieco kwiaty cmentarne. które w najpogodniejsze dnie wśród słonecznych blasków, pomimo barwy i woni smutne robią wrażenie.

Na imię jej było Stasia. Mieszkała tutaj z matką swoją, wdową, w dworku, na przedmieściu, żyjąc z małego kapitaliku. Osiadły tu już od kilku lat; nie miały jednak żadnych znajomości w mieście. Siedziały najczęściej w domu lub wychodziły za miasto w pole na spacery. Obie wystarczały sobie zupełnie — co bardzo gniewało i rozciekawiało sąsiadów, i skłaniało ich do pilnego obserwowania tajemniczego dworku. Zauważono w ten sposób, że czasami, szczególniej w niedzielę po sumie, zatrzymywał się przed dworkiem jakiś kocz staroświecki z krakowiakiem na koźle. Z kocza wysiadał wtedy jakiś stary jegomość o jednem oku, z bardzo dorodną panną, zapewne córką i pół godziny a czasem i dłużej bawili w dworku. Według domysłów mieszkańców przedmieścia, stary ów jegomość był eks-wojskowym, miał zapewne gdzieś w okolicy majątek, gdyż szlachcianka była jeszcze „niczego.“ Owe krótkie wizyty dopiero od kilku miesięcy się odbywały: przedtem nikt a nikt nie bywał w dworku, wyjąwszy jakiegoś młodego człowieka, który często nad wieczorem przychodził z miasta i późno w noc powracał. Czasem towarzyszył matce i córce na spacery w pole. Wszystko to kazało się domyślać, że młody stara się o pannę. Musiał jednak rozmyśleć się inaczej lub wyjechać, gdyż od jakiegoś czasu nie widywano go wcale.

Domysły te, szczególniej ów ostatni, miały wiele w sobie prawdy. W istocie młody człowiek wyjechał był na rok za granicę dla wydoskonalenia się w malarstwie. Jego to list trzymała właśnie Stasia. Donosił w nim, że powraca do kraju, że po drodze wstąpi do swego wuja dziekana i niebawem za kilka dni zjawi się w ich dworku. Termin oznaczony w liście dziś właśnie się kończył i dlatego Stasia z taką niecierpliwością wyglądała ku gościńcowi. W tem jednak zmyliły się trochę domysły sąsiadów, że Adam nie był narzeczonym Stasi, nie mówił jej nawet nigdy wyraźnie, że ją kocha, jednak całem postępowaniem swojem dowodził, że niczyje towarzystwo nie jest mu tak miłem, jak Stasi. Nigdzie też prawie nie bywał, tylko w dworku na przedmieściu. Tu mu było najlepiej; to też każdego dnia po ukończeniu pracy tutaj bawił się, rozmawiał, dzielił się z kobietami swemi nadziejami i smutkami, słowem wżył się tak w to małe kółko, tak ściśle się z niem związał, że ani jemu, ani Stasi, ani jej matce nie przyszło na myśl, że kiedyś mogą się rozłączyć. Nawet odjazd jego nie zerwał tego ścisłego węzła. Było to chwilowe oddalenie się, które sobie wzajemnie listami skracali i uprzyjemniali. Dziś to chwilowe rozłączenie miało się skończyć. Adam wracał — głównym punktem, do którego wracał, był dworek wdowy. Wracał on tam, jak się wraca do domowego ogniska.

Nie było w tym stosunku nic nadzwyczajnego, zwłaszcza, jeżeli dodamy, że Adam był dalekim krewnym matki Stasi. Przywiązanie więc młodych ludzi można sobie było wytłómaczyć pokrewieństwem, albo także uważać je za coś więcej, za rodzaj niemych zaręczyn.

Niespokojność i utęsknienie, z jakiem Stasia oczekiwała powrotu Adama, może więcej przemawiały za tym drugim domysłem. Przyspieszone bicie serca pod baryżową sukienką i myśli Stasi, gdyby je można było podsłuchać, podpatrzeć w tej chwili — możeby nas jeszcze więcej utrwaliły w tym domyśle.

Stasia rachowała niespokojnie godziny, obliczała, gdzie prawdopodobnie w tej chwili może znajdować się Adaś, i o której godzinie będzie go mogła dojrzeć na gościńcu. Lada turkot wózka, kurzawa na gościńcu przyspieszały bicie jej serca, podnosiły ją z siedzenia. Ale godziny mijały, a rachunek jej nie sprawdzał się — Adama nie było widać.

A tymczasem niebo obciągało się z różnych stron chmurami. Jak brudne szmaty występowały z za wzgórzy i zasłaniały lazur coraz czarniejszymi pokładami. Swiat cały coraz posępniejsze przybierał kolory. Chłodny wiatr zatrząsł gałęziami ogródka i dmuchnął na lekkie baryże.

Trzeba było iść do pokoju, a odchodzić nie chciała. Wszak ztąd o kilka minut wcześniej mogła go zobaczyć.

— Panienko! list — rzekła służąca.

Uderzenie piorunu nie byłoby może tak silnie wstrząsnęło Stasią, jak te dwa słowa wypowiedziane tak niespodziewanie. Zamyślona nie słyszała przyjścia służącej. To też nagłe jej odezwanie się przestraszyło ją, a więcej jeszcze to słowo: list. Zbladła, drżącą ręką chwyciła list i przebiegła adres niespokojnemi oczami.

Zdziwiło ją, że pismo nie było jej zupełnie znane: do tego jeszcze koperta ostemplowana była markami pocztowemi dziwnego rodzaju z napisami angielskimi i niemieckimi. Odczytując je mozolnie Stasia doszła w końcu, że list pochodził z Nowego Yorku. Ale od kogo? Ani ona, ani matka nie miały tam żadnych znajomych. Rozerwała ciekawości pełna pieczątkę i spojrzała na początek listu. Zaczynał on się od słów: Kochana córko!

Początek ten jeszcze więcej obałamucił Stasię — nic a nic nie rozumiała. Ojciec odumarł ją dzieckiem, któż więc mógł nazywać ją imieniem córki? Widocznie pomyłka, list zapewne nie do niej. Spojrzała raz jeszcze na kopertę, ale tam najwyraźniej stało jej imię i nazwisko. Była to zagadka, którę powinna była treść listu

jej wytłómaczyć. Zabrała się więc do czytania. List brzmiał:

„Kochana córko!

„Po szesnastu latach zdobyłem się na odwagę odezwać się do was. Domyślasz się może dla czego zaczynam od ciebie. Chciałbym użyć twojej protekcyi do przebłagania matki. Bądź mi aniołem stróżem, który otworzy mi drzwi napowrót do jej serca, wyjedna mi jej przebaczenie. Zawiniłem, prawda, ciężko przeciw niej, przeciw wam, porzucając was tak niegodnie. Ciężko też za to odpokutowałem. Dziś na usprawiedliwienie moje nic więcej powiedzieć nie mogę, jak to, że cierpię, że czuję się sam na świecie, że tęsknota za wami, za ziemią rodzinną okrada mi sen i nie pozwala być nawet spokojnym, gdy mam wszelkie warunki, aby być szczęśliwym. To szczęście wy mi dać możecie, ty i matka, pozwalając mi przybyć do was i uścisnąć. Z tą tylko nadzieją mogę wrócić, bez niej wolę tu zostać.

„Zdziwi cię może, drogie dziecię moje, w jaki sposób dowiedziałem się o miejscu waszego pobytu. Lata całe kosztowała mnie ta wiadomość, posiadam nawet fotografię twoją już jako dorosłej panny. To niech was przekona jak myśl moja spragniona was szukała wszędzie, jak kocham was teraz. Dziwna jakaś duma wstrzymywała mnie od żebrania u was przebaczenia. Dziś pragnienie zobaczenia was przeszło tę dumę, odrzuciłem skrupuły i chcę jeszcze przy końcu życia próbować wyciągnąć ręce ku szczęściu, choćby kosztem upokorzenia. Z niecierpliwością i obawą czekam twojego listu. Będzie on wyrokiem dla mnie. Nie zostawiaj mnie długo w niepewności i użyj całego wpływu miłości twej u matki, aby wyrok był łaskawym. Do końca życia mego będę ci odpłacał ten dług wdzięczności."

U spodu listu był podpis i adres.

Stasia przeczytawszy list osłupiała z podziwu. Ojciec, którego miała zawsze za umarłego, przemawia nagle do niej, jakby z po za grobu słowami pełnemi miłości i skruchy. Na jeden raz odzyskała ojca. Matka mówiła jej zawsze, że umarł. List wytłumaczył jej, dlaczego tak mówiła. Ale mając matkę nie wątpiła, że wyprosi od niej przebaczenie dla żałującego i postanowiła zaraz iść z listem do niej.

Czas już był wielki usunąć się z ogródka, gdyż już duże, ciężkie krople deszczu z szelestem spadały na papier. Schowała co prędzej oba listy w rękaw i pobiegła do pokoju. Wbiegłszy tam przystanęła nagle i ucichła spostrzegłszy, że matka się zdrzemnęła w krześle. Po cichu, na palcach zbliżyła się do niej, nachyliła nad jej twarzą i wpatrywała się w nią z czułością. Twarz matki pomimo wieku miała jeszcze widoczne ślady piękności. Regularne rysy, delikatna cera, nawet rumieniec, który sen spotęgował jeszcze więcej, nadawały jej wiele powabu. Była to piękna jesień kobieca, w której zamiast róż rozkwitają astry i georginie. Twarz śpiącej ot[...]czona tiulikiem czepeczka bardzo astry przypominała. Na czole tylko zmartwienia i wiek zapisały się kilkoma wyraźnymi zmarszczkami i dawały świadectwo o przeszłości.

Oddech śpiącej był równy, powolny, co pokazywało sen głęboki. Córka nie śmiała go jej przerywać i ostrożnie przysiadła na podnóżku, czekając na przebudzenie i odczytując jeszcze raz list ojca.

Tymczasem na dworze burza na dobre się rozszalała. Pociemniało od czarnych chmur. Wiatr z coraz większą siłą i wściekłością szarpał drzewami, czerwone błyskawice co chwila krwawym blaskiem obrzucały ściany pokoju, a deszcz ulewny dzwonił natarczywie po szybach okna.

Stasia była przerażona tą gwałtowną burzą, jakiś dziwny strach ją opanował, radaby była obudzić matkę, ale nie śmiała snu jej przerywać. Samotność wydawała jej się bardziej przykrą niż kiedykolwiek. Przyczyniało się nie mało do spotęgowania tej wrażliwości usposobienie, w jakie ją wprawił list ojca i oczekiwanie Adama. Niepokój wewnętrzny spotęgował się burzą żywiołów.

Burza widocznie coraz więcej się wzmagała i zbliżała. Szelest deszczu stawał się prawie głuszący, a pioruny następowały prawie tuż po błyskawicach. Aż jeden z nich uderzył gdzieś w pobliżu z takim trzaskiem, że śpiąca zerwała się na równe nogi przerażona i schwyciwszy córkę za rękę spytała nieprzytomna jeszcze ze snu:

— Co się stało? Czy to on przyjechał?

— Kto taki? — spytała córka nierozumiejąc pytania.

— Adam.

— Nie, to piorun uderzył.

— Piorun?

Spojrzała w okno oryentując się, a potem rzekła:

— Jaka burza! Więc to był piorun? A mnie się zdawało, że Adaś zajechał przed dom. Czy jeszcze go nie ma?

— Burza musiała go gdzieś w drodze zatrzymać.

— Jaka burza — mówiła matka przecierając ze snu oczy — i ja nic nie słyszałam! Musiałaś się bać?

— Nigdy jeszcze żadna burza tak mnie nie przeraziła — mówiła tuląc się do matki, jak ptaszek do muru i patrząc z niepokojem w okno. Żeby tylko jemu co złego się nie stało.

— Wróci, wróci, nie bój się — mówiła z uśmiechem matka, gładząc jej jasne włosy i nachylając się ku niej.

W tem nachyleniu padło przypadkowo jej spojrzenie na list, który Stasia w chwili uderzenia piorunu zacisnęła silnie w rękach dłoni i trzymała go tak dotąd. Matka spostrzegłszy pismo, poruszyła się gwałtownie w krześle i spytała:

— Zkąd masz to pismo?

— Jakie pismo?

— Ten list — mówiła matka z wzrastającym niepokojem i wskazała palcem na list.

Stasia teraz dopiero spostrzegła, że list trzymała ciągle w ręku.

— Więc poznałaś pismo? — spytała łagodnem, modlitewnem spojrzeniem oblewając matkę.

— Zkąd masz ten list? — powtórzyła matka.

— Od niego.

— On śmiał...

— Jest teraz bardzo nieszczęśliwy. Przeczytaj.

— Nigdy, nigdy — rzekła gwałtownie, odsuwając jej rękę.

Córka w milczeniu spuściła głowę. Milczeniem tem uszanowała boleść matki, ustąpiła pierwszemu jej wzburzeniu, które było zbyt silne, aby je prośbą zatamować można było. List ugodził w zamarłe wspomnienia, podminował je i ruszył z łożyska. To też w sercu jej powstał gwałtowny wylew, uczucia wzburzone podniosły się i szumiały i pieniły i myśl goniła za myślą jak kry lodowe, potrącały się, gniotły, wspinały jedna na drugą i pędziły w szalonym biegu. Córka przeczuciem odgadła tę powódź boleści i nie miała odwagi tamować jej nową prożbą. Czekała więc w milczeniu, aż pierwsze gwałtowne prądy przeminą. Milczenie było skutecznem. Po pewnem przeciągu czasu matka sama zapytała:

— Zkąd pisał?

— Z Nowego Jorku.

— Przypomniał sobie wreszcie.

Zmarszczki na jej czole ostro zarysowały się z oburzenia. Surowość niezwykła zasępiła jej oczy. Córka milczała znowu.

— Czegoż chce od ciebie? — spytała znowu matka.

— Bym się wstawiła za nim do ciebie.

— Dobrą drogę obrał — rzekła z gorzką ironią. Ty się masz wstawiać za nim? to bezczelność. On dla ciebie nie jest niczem. Nie oszukiwałam cię wcale, mówiąc, że twój ojciec umarł. On nigdy nie żył dla ciebie.

— Przecież to zawsze ojciec — odezwała się nieśmiało Stasia.

— Ojciec? On ojciec? On — co cię zaledwie dwuletnią dziecinę odleciał, zostawił na pastwę niedostatkowi, i dla kogo? Zwierzę tego nie zrobi, nie porzuci płodu, póki go nie odchowa.

— On to wszystko uznaje i prosi o przebaczenie.

— Dość rychło. Odzywa się wtedy i przypomina, gdyśmy miały czas zapomnieć zupełnie. Dla czego ten człowiek znowu chce mącić nasze spokojne życie? Byłam już tak spokojną. I on śmiał pisać do nas, do ciebie — po tem wszystkiem. To bezczelność.

— To skrucha i żal, mateczko.

— Nie mów mi więcej o tem. Nie chcę słyszeć więcej.

W głosie czuć było rozdrażnienie, niecierpliwość; ale głos jej był zaprzeczeniem uczuć wewnętrznych. Czuła że słabnie w postanowieniu, że uczucie przemaga nad obrazą, że mogłaby przebaczyć, a nie chciała. Zdawało jej się dawniej, że postanowienie jej jest niewzruszone, jak skała. Dziś przekonała się, że skrucha jego, że prośby córki podmuliły grunt jej serca, że postanowienie silne chwiać się zaczyna. Chciała je gwałtem utrzymać i w miarę, jak jej serce słabło i miękło, słowa były gwałtowniejsze i groźniejsze.

Stasia ulękła się tych słów i umilkła. Ale rozwinęła list i patrząc jej błagalnie w oczy, niemą prośbę zaniosła do niej.

— Czego tak patrzysz na mnie? — ja nie rozumiem — rzekła matka nieco niecierpliwie.

— Przeczytaj — prosiła córka.

Matka zmarszczyła brwi surowo, wzięła z jej ręki list i czytała siląc się na groźne zachmurzenie. Twarzą również jak głosem chciała zakryć wewnętrzny stan serca. I udało jej się przeczytać list z niezmiernym wyrazem surowości i chłodu na obliczu. Potem złożywszy go spokojnie, oddała córce nie przemówiwszy ani słowa.

— I ty nic na to? — spytała Stasia.

— Cóż mam powiedzieć? Więc dla tego, że ojcu twemu po szesnastu latach zechciało się przypomnieć sobie, że żyjemy — mam dla jednego listu jego zapomnieć tylu lat cierpień?

— Matko! on żałuje. To jedno słowo powinnoby cię rozbroić. Wszak my wszyscy potrzebujemy przebaczenia od Boga. Cożby to była za okropna rzecz iść do konfesyonału bez nadziei, że nam przebaczą. Pomyśl mameczko na to.

— Ja nie Pan Bóg, ja tylko jestem człowiekiem — rzekła matka ze stanowczością, która przestraszyła Stasię. Nigdy nie widziała takiej nieugiętości w słowach matki. Natura jej zdawała się więcej podajną, elastyczną, która pod ciężarem nieszczęść i przeciwności, uginała się po kobiecemu, by znowu potem podnieść się, jak burza zgina wiatrami. W obecnym jednak wypadku postąpiła w brew naturze. Wola jej zesztywniała, że zdawało się, iż łatwiej ją będzie złamać, niż nagiąć. Było to jednak tylko pozorne, chwilowe naprężenie woli, które wnet osłabło. Bo gdy córka po ostatnich jej słowach oplotłszy rękami jej kolana, wybuchnęła płaczem i zawołała:

— Matko, jesteś nielitościwą, nie chcesz nawet, abym choć raz w życiu uścisnęła mego ojca!

Nie mogła już dłużej trwać w postanowieniu i odrzekła:

— Masz słuszność moje dziecko; mogę odpowiadać za siebie, ale nie mam prawa rozrządzać tobą i zabraniać ci widzieć ojca. Napisz mu więc niech przyjedzie — do ciebie.

— I do ciebie — dodała córka.

Resztki gniewu, jak rozproszone dymy po wystrzale, wałęsały się jeszcze po jej duszy i wstrzymały ją od powiedzenia: tak.

— Matko, nic nie odpowiadasz? — odezwała się z boleśnym wyrzutem córka.

— Napisz mu więc, że jeżeli potargał zupełnie związki, dla których sprzeniewierzył się obowiązkom ojca i męża — rozumiesz? — jeżeli ta kobieta, dla której nas opuścił, nie żyje więcej — niech powraca.

— O! Bóg ci zapłać za to, mameczko droga — zawołała Stasia obsypując pocałunkami twarz i ręce matki. — Jakaś ty dobra!

— Może kiedyś tego obie żałować będziemy — rzekła z westchnieniem matka.

— A ja ci przysięgnę za niego, choć go nie znam, że nigdy.

Nie tracąc czasu, zabrała się Stasia zaraz do pisania. Szukając papieru układała w myśli osnowę listu, a że myśli jej nie mogły obyć się bez Adama, więc i tu wplątało się jego imię i biorąc pióro do ręki, spowiadała się głośno ze swoich myśli.

— Jakże się Adaś zdziwi — mówiła — gdy mu powiem: ojciec przyjedzie; gdy się dowie, że mam ojca. Ach, co to będzie za radość, jak będziemy tak wszystko czworo razem... Żeby tylko prędko mógł wrócić! Jak myślisz mamo, długo on potrzebować będzie czasu, by tu wrócił?

— Któż to może wiedzieć, jakie tam interesa zatrzymują go i jak prędko będzie się mógł uwolnić.

— Napiszę, żeby natychmiast wracał. I ty dopiszesz się — nieprawda?

— Stasiu! Nie żądaj odemnie więcej nad to, co mogłam zrobić — rzekła matka poważnie i nieco surowo, i by uwolnić się od dalszych próśb córki, wyszła do drugiego pokoju.

Stasia nie śmiała jej wstrzymać; po trochu nawet rada była temu, że będzie mogła swobodnie wypisać się z uczuciami swemi, swobodniej, niżby to może matka życzyła sobie. Jej nie wypada być zbyt czułą, tłumaczyła sobie, bo musi czuć się obrażoną, dopóki jej uroczyście nieprzeprosi. Ale ja mogę mu już z góry przebaczyć. Mnie nie wolno gniewać się na niego.

Pod wpływem takiego wywodu, napisała list długi pełen uczucia i miłości. Ładu tam nie było, ale z każdego słowa tryskało serce utęsknione, spragnione uścisku ojca. Prędko odbyła się z adresowaniem i zawołała Jagusi, by coprędzej list wysłać na pocztę. Chciała, by jeszcze dziś w nocy list odszedł. Każdy dzień zwłoki uważałaby za stracony.

— Jagusiu! — rzekła do służącej — biegnij co prędzej na pocztę, nim zamkną.

— Telegrafem polecę panienko — odrzekła sprytna służąca.

Telegraf był dla niej miarą szybkości. Dawniej używała wyrażenia: wrócę się na jednej nodze; odkąd

jednak woźny z bióra telegraficznego zaczął chodzić w konkury, Jagusia z miłości dla niego zmieniła wyrażenie. Dziś w istocie było ono w porę użyte, gdyż przypomniało Stasi, o czem w radośnem roztargnieniu zapomniała, że można będzie zatelegrafować do ojca, co nadzwyczaj przyspieszy termin jego powrotu. Uściskała z radości Jagusię za poddanie jej tej myśli, odebrała list i w miejsce tego, napisała telegram tej treści:

„Matka i ja — czekamy cię z upragnieniem. Przyjeżdżaj, ale sam.“

W godzinę potem Jagusia wróciła już z miasta z zaświadczeniem urzędnika, że telegram został wysłany. Stasia była zadowolniona, szczęśliwa. Jedynie chmurzył tę radość niepokój o Adama. Burza ustała, po ulewnym deszczu, spokojny, pogodny nastał wieczór. Stasia do późnej nocy czekała, i nie doczekała się. Kiedy już miała iść na spoczynek, zowołała Jagusi i rzekła:

— Gdyby pan Adam nadjechał w nocy lub jutro raniutko, to obudź mnie, rozumiesz? Obudź zaraz.

Polecenie było zbyteczne, gdyż i tak całą noc nie spała, nierozbierała się nawet, mając nadzieję, że co chwila nadjedzie.

Ale Adam nie wrócił.

(C. d. n.)

KLASZTORNE DZWONY.

Na wzgórzu, wśród sadów i lasów zieleni
Wznosiły się mury cichego klasztoru,
A dzwonów modlitwa w szerokiej przestrzeni
Spływała wraz z rosą wieczoru.

A niżej, w dolinie, wśród kwiatów kobierca,
Wpatrzeni w łagodne promienie księżyca,
Złączeni harmonią nadziei i serca
Marzyli młodzieniec — dziewica.

Już prędko nadejdzie roskoszna godzina
I będą na wieki należeć do siebie,
I wierność lubemu przysięgnie dziewczyna —
Bóg stwierdzi przysięgę tę w niebie.

Więc marzą roskosznie i z czary upojeń
Płynęło im szczęście w godzinach wieczornych,
A z wieży, wtórując harmonii ich rojeń,
Wciąż dźwięczał hymn dzwonów klasztornych.

Lecz spokój przerwały wojenne okrzyki,
I trąby wojenne do walki zagrały.
I zbrojnych rycerzy przemknęły się szyki,
A serca do sławy zadrżały.

I poszedł młodzieniec, kochanek szczęśliwy,
I lubą pożegnał uśmiechem — nie łzami,
I poległ, jak rycerz, wśród zlanej krwią niwy
I skonał z tryumfu słowami!

A kiedy bój ustał, ucichła już trwoga
I odgłos wystrzałów i burza szalona,
Lubego swojego kochanka nieboga
W pieszczone ujęła ramiona.

I nim go ponura okryła mogiła,
Nim twarz ta nabrała martwości koloru,
Raz jeszcze przysięgę wierności złożyła
Wsłuchana w jęk dzwonów klasztoru.

I znowu wieczorem ozwały się dzwony,
Dziewczyna - nieboże w swym stroju weselnym,
Zakonne na skronie włożywszy welony,
Stanęła na progu kościelnym.

I jasnych warkoczy bogate jej zwoje
Upadły na zimną posadzkę z kamienia
I biedna zmieniła marzenia, sny swoje,
Ze zmianą dawnego imienia.

I jej się zdawało w boleści godzinie,
Że taka ofiara podoba się Bogu,
Że, jakby modlitwa, jej młodość przeminie,
A żądze zostaną na progu.

Lecz długo wewnętrzna toczyła się walka,
Z ziemskiemi myślami walczyło sumienie
I gasić musiała nieszczęsna Westalka
Ognistej pochodni płomienie.

A kiedy, jak lilia, co zwiędła zawcześnie,
Na białe łóżeczko schyliła się drżąca,
Przez kraty, jak niegdyś w marzeniu i we śnie,
Patrzyły promienie miesiąca.

A kiedy na mary złożono jej zwłoki
I pieśni się smutno ozwały nieszporne,
Zdawało się — skargę w błękitne obłoki
Wznosiły te dzwony klasztorne...

Stanisław Grudziński.

KSIĄDZ HUGO KOŁŁĄTAJ

i jego prześladowcy,

szkic biograficzno-krytyczny

przez

HENRYKA SCHMITTA.

(Ciąg dalszy.)

X.

Rozprawa wspomniona Wegnera wykazała jako rzecz najzupełniej niewątpliwą, że Kołłątaj na posiedzeniu straży d. 23 Lipca 1792 głosował za bezzwłocznem przystąpieniem króla do konfederecyi targowickiej i że wyjeżdżając z Warszawy celem poratowania zdrowia do kąpiel zagranicznych, zostawił w ręku Ludwika Strassera akces swój do niej a tem samem reces od sejmu, przy czem zastrzegł jednakże, by akces ten jego wtedy dopiero zaciągnięto do metryki koronnej, gdy poseł moskiewski Bułhaków poręczy bezpieczeństwo jego osoby, tudzież całość dóbr i urzędu. Nie potrzeba więc nowych dowodów na poparcie tego, co najmniejszej nie podlegało wątpliwości, a natomiast warto wszechstronnie zbadać powody, które mogły skłonić Kołłątaja do tego kroku.

Siemieński opierając się na świadectwie króla, Bułhakowa, Aleks. Linowskiego, Fryderyka Smitta, niektórych rezydentów zagranicznych, tudzież na świeżo wydanych listach Kołłątaja, twierdzi stanowczo, że tenże

chcąc ocalić urząd i dochody z dóbr posiadanych, potrzebne mu na życie wygodne, które lubiał bardzo, postanowił zrzec się swych przekonań i oddać się na usługi Targowiczan i Moskwy, i że dopiero wówczas, gdy ofiarę jego odrzucono a w dodatku odsądzono go od dóbr i urzędu, zmienił swe postanowienie za granicą i przyłączył się do robót wychodźców naszych, którzy przygotowywali powstanie narodowe. Na poparcie twierdzenia swego, przywodzi kilka ustępów z 114 listów jego, i upewnia w dodatku, że ton tych listów zmienia się dopiero w Maju i w Czerwcu 1793 a więc od czasu, gdy konfederacya sancytami swymi pozbawiła go kanclerstwa i majętności ogromnych, ponieważ odtąd pojawiają się nagle wzmianki o cyfrach i wysłannikach z ustnemi poleceniami, czego wszystkiego zdaniem jego nie widać wcale w poprzednich. Ztąd wysnuwa wniosek, że u Kołłątaja przeważał wzgląd na interes własny nad miłością kraju, którę umiał zręcznie udawać i szumnie ogłaszać, aby tem lepiej maskować swe prawdziwe dążenia, że zatem był to w rzeczy przebiegły obłudnik, z którego pierwszy Linowski zdarł w r. 1795 maskę i okazał go narodowi, jakim był w rzeczywistości. Oskarzenie swoje zamyka Siemieński ubolewaniem, że historycy nasi miasto uwierzyć Linowskiemu woleli pójść za zdaniem pewnego stronnictwa, mieniącego go prorokiem swoim, i że uwiedzeni wielką popularnością jego, tudzież niezgodnymi z prawdą opisami wypadków, zawartymi w dziele o ustanowieniu i upadku konstytucyi 3 Maja, przekazali pamięć jego czci przyszłych pokoleń. Cieszy sie zatem, że wydane teraz właśnie listy jego, stwierdzając słuszność zarzutów Linowskiego, przekonają i najuporczywszych a między nimi także Wegnera, czem był w rzeczywistości wielbiony przez nich Kołłątaj.

Obarczając tak ciężkimi zarzutami Kołłątaja, nie rozważył widocznie Siemieński wszystkich następstw, na jakie się musi narazić, jeżeli nie potrafi przytoczyć niewątpliwych na to dowodów, że Kołłątaj był rzeczywiście gotów zrzec się swych przekonań, złączyć się z zdrajcami kraju i z mocarstwem na zgubę tegoż czyhającem, a więc dopuścić się zbrodni stanu, byle się tylko utrzymać przy urzędzie i ogromnych, jak powiada, majętnościach. Że zaś nie przytoczył takich dowodów, przekona się każdy nieuprzedzony z rozbioru świadectw, na które się powołuje w swem oskarzeniu. Świadectwami temi są: pamflet Linowskiego. sprawozdania Bulhakowa, i własne listy obwinionego. Zastanówmy się nad niemi kolejno, zaczynając od Linowskiego.

Człowiek ten zgryźliwy, miernych dość zdolności a przytem trawiony żądzą odgrywania pierwszorzędnej w kraju roli, nie mógł przebaczyć Kołłątajowi tej wyższości umysłowej, którą się odznaczał od pierwszego zaraz wystąpienia swego w zawodzie publicznym, tudzież owej przewagi wpływu, jaką dzięki swym zdolnościom wywierał podczas sejmu czteroletniego, w emigracyi i w powstaniu narodowem Kościuszki. Jak zwykle ludzie miernych zdolności, których trawi nieuzasadniona niczem ambicya, powziął i Linowski nieubłaganą ku Kołłątajowi nienawiść nie tyle ze względu, że wobec jego potęgi duchowej czuł mimowoli własną niższość, ile z błędnego mniemania, że gdyby nie Kołłątaj, byłby w powstaniu Kościuszki świetniejszą odegrał rolę. Gdy zatem powstanie to po siedmiomiesięcznej upadło walce i ostateczną z swym upadkiem sprowadziło zagładę ojczyzny, a Kołłątaja uwięzionego pod Przemyślem rząd austryacki osadził w Jozefstadzie, wydal 1795 w Krakowie, zajętym przez obce wojska, bezimiennie ów list do przyjaciela, w którym odmawiając Kołłątajowi wyższych zdolności, przedstawia go gdyby prostego intryganta, umiejącego zręcznie nadskakiwać księciu Michałowi Poniatowskiemu, prezesowi komisyi edukacyjnej, późniejszemu prymasowi Rptej, za co też nachwytał dość chleba duchownego i innych korzyści, a w dodatku otrzymał i rektorstwo akademii krakowskiej. Opowiada dalej, że uzyskawszy za wpływem swego mecenasa referendaryę litewską, zaczął w r. 1788 gorącego udawać patryotę i że listami swymi do Stan. Małachowskiego zjednał sobie p e w i e n r o z g ł o s; że następnie podszedłszy zaufanie kierowników strony patryotycznej w sejmie, dochrapał się za jej rekomendacyą podkanclerstwa koronnego, i że mdlał i płakał, gdy król zwlekał oddanie mu tej godności. Zarzuca mu przytem, że jak na urzędzie referendarza tak na stanowisku ministra pamiętał zawsze o sobie i brał zkąd i gdzie się tylko dało. Opisuje następnie, że Kołłątaj po owem posiedzeniu straży d. 23 Lipca, na którem głosował za przystąpieniem do Targowicy, chciał się sam przerzucić do niej, lecz odepchnięty ze wzgardą przez ich przewódców, wkręcił się między patryotów, pracując za granicą nad podźwignięciem ojczyzny i podszedł znów ich zaufanie a szczególniej Tadeusza Kościuszki, któremu później czarną zamierzał odpłacić się niewdzięcznością, gdy nietylko znane w Warszawie wywoływał rozruchy, ale na dobitek spiknąwszy się z Zajączkiem, chciał go zrzucić z naczelnictwa. Oskarza go w końcu, że widząc bliski upadek powstania a troskliwy więcej o siebie niż o ojczyznę, umknął pierwszy z Warszawy, unosząc z sobą resztki skarbu, będącego pod jego zarządem, które przywłaszczył sobie itp. itp.

Ponieważ Siemieński, który mieni to zdarciem maski obłudy z Kołłątaja i pokazaniem go, jakim był, uchodzi za bardzo bystrego krytyka, wolno go zapytać, czy rzeczywiście w bezimiennie przez Linowskiego ogłoszonym pamflecie znalazł owe niezbędne kriteria prawdziwości szczegółów podanych, których wymaga zwykle sędzia sumienny, zanim na podstawie wniesionych oskarzeń wyda wyrok potępienia? Należało przecież rozważyć czas i okoliczności, wśród których Linowski wystąpił b e z i m i e n n i e z swem oskarzeniem, wglądnąć w powody, które go mogły skłonić do tego, zbadać stosunki jego osobiste z oskarzonym, tudzież własny jego charakter i wiarogodność, a w końcu wejść w rozbiór szczegółowy każdego zarzutu i porównać z tem, co inne bardziej może wiarogodne świadectwa mówią w tym względzie za lub przeciw oskarzonemu. Tego wszystkiego nie uczynił Siemieński, a co więcej nie zwrócił nawet swej uwagi na ważną okoliczność, dla czego Linowski dopiero w r. 1795 wystąpił z oskarzeniem Kołłątaja za czynności, które zaszły przed powstaniem Kościuszki? Przypuściwszy bowiem, że wszystko jest świętą prawdą, co zarzuca Kołłątajowi w swem piśmie, czyż jako człowiek gorliwy o dobro swej ojczyzny niepowinien był zedrzeć maski z obłudnika bądź w r. 1793, bądź też zaraz po wybuchu powstania, aby mu tym sposobem zagrodzić drogę do władzy i odjąć możność szkodzenia znów sprawie narodowej? Jakżeż sobie wytłumaczyć milczenie jego w chwili najwłaściwszej? Brakło mu widocznie odwagi, na którę zdobył się wtedy dopiero, gdy Kołłątaj zamknięty w Jozefstadzie nie mógł się sam bronić przeciw oszczerstwom jego, a inni również patryoci i współpracownicy oskarzonego osadzeni w więzieniach lub tułając się za granicą, nie zdolali zadać kłamu bezsumiennemu oskarzycielowi. Siemieński nie uwzględnił i drugiej równie ważnej okoliczności, że gdy spotwarzony przez Linowskiego Kołłątaj wraz z tylu innymi patryotami odpokutował swą miłość ojczyzny w więzieniu u jednego z zaborców jej dzierżaw, Linowski przebywał sobie swobodnie w kraju, pisywał wierszyki do ładnych

niewiast, a później spędzał wesołe w pałacu pod blachą wieczory! Należało również zbadać, czem też ów gorący miłośnik ojczyzny zamanifestował swój patryotyzm aż do pojawienia się wojsk francuskich w Warszawie? Czy może jak Kołłątaj podawał głęboko obmyślane wskazówki, w jaki sposób należy uskutecznić zbiór zupełny źródeł do dziejów ojczystych? czy opracowywał podręczniki szkolne lub dzieła naukowe? czy może zaprzągł się z jakim Czackim do mozolnej, bezpłatnej a rozgłosu nie dającej pracy, mającej na celu zaprowadzenie w jednym z zaborów takiego trybu wychowania publicznego, aby przez to lepszą zgotować narodowi przyszłość? W to wszystko nie wdawał się Linowski, a ogłosiwszy bezimiennie list wspomniony, spoczywał na laurach tanim kosztem zdobytych aż do utworzenia księstwa warszawskiego i zajęcia w temże posady urzędowej.

Słusznie można się też dziwić, że Siemieńskiego uwagi nie zwróciło twierdzenie Linowskiego, dotyczące zdolności Kołłątaja i dróg, jakiemi uzyskał rektorstwo akademii krakowskiej. Trudno bowiem przypuszczać, że pisząc chociażby w przedmowie tylko do wydanych listów o Kołłątaju, nie czytał znanej powszechnie rozprawy o nim Jana Śniadeckiego, czytanej na posiedzeniu publicznem towarzystwa przyjaciół w Warszawie i ogłoszonej w rocznikach tegoż towarzystwa. Z rozprawy tej bowiem byłby dokładną powziął wiadomość, w jaki sposób i za co Kołłątaj otrzymał rektorstwo tej akademii. Świadectwo zaś publicznie dane przez Śniadeckiego Kołłątajowi i to obec poważnego grona mężów, z których wielu znając tegoż osobiście, wiedziało dokładnie o całym przebiegu życia jego, nie może być podejrzanem w oczach nawet najwybredniejszego krytyka, ponieważ świadczący wystąpił jawnie i otwarcie, nie ukrywając się pod płaszczyk bezimienności. Jeżeli zatem świadectwo Śniadeckiego kłam zadaje Linowskiemu w jednem, a mianowicie w tem, co mówi o drogach, jakiemi Kołłątaj uzyskał rektorstwo akademii krakowskiej, czyż tem samem nie nasuwa się samo przez się słuszne podejrzenie, że i wszystkie inne jego zarzuty są również bezzasadne, że przeto uniesiony osobistą jakąś niechęcią do Kołłątaja, obryzgał go jadem bezsumiennej potwarzy? Kto bowiem w żywe niejako oczy ludzi, którzy znali Kołłątaja, śmiał mu odmówić zdolności, a uznanie okazane mu za podjęte prace przez komisyę edukacyjną i akademią przypisać podłemu nadskakiwaniu, ten mógł tem śmielej jeszcze uciec się po tak strasznej katastrofie, jaką była zagłada ojczyzny, do spotwarzania przeciwnika znienawidzonego, ponieważ wiedział, że tenże siedząc w więzieniu, sam nie zdoła się bronić, a w chwili podobnej, gdzie każdy rad się umyć z niedopełnienia obowiązków a tem samem zepchnąć winę na jakiegobądź kozła ofiarnego, nie łatwo znajdzie sumiennego obrońcę, któryby dał świadectwo prawdzie.

Mniej jeszcze ma wagi świadectwo króla i jego duchów jak Komarzewski, Wolski i inni tego samego rzędu, ponieważ stwierdzając jedynie, że Kołłątaj chciał uczynić akces do konfederacyi targowickiej, nie przytacza nic takiego, coby wyświecało prawdziwe pobudki tego zamiaru. Najbardziej obwinia Kołłątaja sprawozdanie Bułhakowa, który mu zarzuca, że wziął od księżnej kurlandzkiej 2000 dukatów za pomoc w wygraniu procesu, i że każdy, kto tylko zechce, może go kupić. Świadectwo to godne prawdziwie Moskala, upada samo przez się, jeżeli zważymy, że Moskwa, która najmierniejsze głowy bardzo drogo opłacała, jeżeli się chciały zaprzedać, byłaby również nie szczędziła pieniędzy na zakupienie jednego z najzdolniejszych w owoczesnej Polsce ludzi, gdyby był do nabycia. Bułhaków wiedział przecież o zdolnościach Kołłątaja, dla czegoż nie poradził swemu rządowi, aby go sobie ujął, jeżeli go każdy mógł kupić? Dla czegoż nie nakazano konfederacyi, aby przyjęła jego reces i pozostawiła mu podkanclerstwo? Naturalnie dla tego, ponieważ Moskwa wiedziała wówczas lepiej, niż wie teraz Siemieński, z jakich powodów Kołłątaj chciał przystąpić do konfederacyi. Sama radość Bułhakowa, że podkanclerzy wyjechawszy z Warszawy, nie będzie i n t r y g o w a ł, czyli w zrozumiałym języku, nie będzie psuł robót moskiewskich, zbija najlepiej poprzednie oszczerstwo jego o przedajności tegoż.

(C. d. n.)

CYD,

według Romancero Hiszpańskiego,

z przekład Herdera

spolszczył

WŁADYSŁAW HR. TARNOWSKI

CYD

pod FERDYNANDEM WIELKIM.

(Ciąg dalszy.)

20.

Już dziesiąta była rano,
Kiedy król swego pisarza
Wezwał, i papieru żądał.
Cztery kropki naprzód zrobił
I przeciągnął znakiem krzyża,
I tak pisał do Xymeny:
— „Zacna Pani, obyczajna!
„Pozdrowienie me łaskawe,
„Cześć i afekt wam przesyłam,
„Skarżyż się o swego męża
„Przeciw mnie, zacna Xymeno!
„Gdybym tu go dla wymysłu
„Mego więził, pełne prawo
„Miałabyś się na mnie skarżyć,
„Ale kiedy bitwy krwawe
„Wra na całej państw granicy,
„Kiedy gromi bisurmany,
„Czyż jest moja wina w tem?
„Że nie zawsze w twem objęciu
„Sypiał Cyd, o cna Xymeno,
„To dosadnie z listu widzę.
„Lecz nie lękam się by dziecię
„Twoje było tu sierotą,
„I nie zmuszaj do powrotu
„Męża twego, Pani moja.
„Bo i przy twym boku nawet
„Budziłby go wśród rozkoszy
„Krzyk wojenny jego braci.

„A gdy nie byłby rycerzem
„Powiedz czembyście oboje
„Byli — ty i on,
„O najlepsza z żon?
„Jeżli pięciu ongi królów
„Lennikami miał, toż lepiej
„By pięć razy pięć ich dzisiaj
„Miał, bo państwo moje wrogów
„Za to ma sto razy tyle!
„Jeżli więc, Xymeno zacna
„W tej nie może przy was chwili
„Być, pozwólcie mi, bym jego
„Miejsce przy was sam zastąpił,
„Bo król ledwie może miejsce
„Twego zastępować Cyda!
„Co? twój list mam dać płomieniom?
„Niech go cały dwór mój płochy
„Ujrzy — i niech się zawstydzi!...
„Byś zaś mego nie spaliła,
„Podpisuję go kontraktem:
„Oto się zobowiązuję,
„Jeżli syn, dać mu namioty,
„Miecz, i złotych Marawedów
„Dwa tysiące jako dar;
„Jeżli córka, to czterdzieści
„Jej talentów przekazuję
„Srebrem od dnia urodzenia.
„A tak — żegnaj mi Xymeno
„W tej godzinie twych boleści,
„Niechaj cię królowa nieba
„Swą pomocą uratuje."

Przypisek.

„Właśnie idzie, słyszę kroki,
„Twój mąż dzielny, lew ojczyzny,
„By mnie zlająć po hetmańsku
„Żem na polu bitwy nie był."

21.

Szczęście, sława, moc i dobro,
Wszelki blask i splendor ziemi,
Jest jak świetna bańka z mydła
Co w powietrzu się unosi
Wietrzna chwilę!...
Don Fernando, ów król wielki
Sprawiedliwie tak uczczony,
Pan Hiszpanii miłościwy,
Już na łożu legł śmiertelnem,
A ostatniej swej godziny
Wyglądając, wśród cichości
Myśli tylko o wieczności!

Już rozdzielił między synów
Państwo, i przeliczne włości —
Jakiż głos się ozwał nagle
Po pod zamku sklepieniami?
To Infantki, głos, Urraki!
Z płaczem bieży do stóp króla
Żałobnymi kwefy strojna,
I przypada w łzach do łoża,
A całując dłoń wychudłą
Taki lament śmie zawodzić:
— „O mój ojcze wśród praw boskich
„I praw ludzkich, jakież, powiedz,
„Upoważniać ciebie może
„Byś na korzyść twoich synów
„Córkę twoją wydziedziczał?
„Rozdzieliłeś wszelkie dobra
„Między nich, a przepomniałeś
„O mnie, córce twej jedynej!
„A więc jam ci nie jest córką?
„Chocibym była z nieprawego
„Łoża, myśleć by kazała
„Ci natura o twej córce!
„Jeżlim nato zasłużyła.
„Wymień ojcze moją winę!
„Jeżli zaś nie wymienisz,
„Cóż powiedzą inne ludy,
„Żeś dla wszystkich sprawiedliwy
„A mnie jedną ukrzywdziłeś!
„Może na świat tu przynoszą
„Siły i zdolność wszelką,
„By się dobić swego mienia,
„Ale powiedz, cóż tu zdoła
„Zdobyć sobie białogłowa?
„Porzucona o ziem w wzgardzie,
„Co jej tutaj pozostało,
„Nad niewolę posłuszeństwa?
„Więc jeżli mnie wydziedziczysz,
„Z mojej ziemi, z mego mienia,
„Pójdę tułać się w obczyźnie
„Zapomniana w mej ojczyźnie,
„I zmuszona — wybacz słowo,
„Tak się, ojcze, zaprzeć ciebie
„Jak ty mnie się zaprzeć chcesz!
„Dobrze więc! jak pielgrzym sama
„Pójdę w świat. W mych żyłach płynie
„Krew królewska! tego lękam
„Się zapomnieć, bo zapomniał
„O tem własny ojciec mój!..."
Tak mówiła z głośnym szlochem
Donn' Urraca — gdy umilkła
Czeka na królewskie słowo,
Ojca, co już konał milcząc...
Taką treść ostatnich słów — —

(C. d. n.)

PITAGORAS,

USTĘP Z DZIEJÓW HELLADY

skreślił

Dr. Władysław Daisenberg.

(Ciąg dalszy).

Skutki wszechwładztwa absolutnego idealizmu Hegla wpłynęły wielce szkodliwie nietylko na filozofię, która chwilowo zbankrutowała, lecz i na umiejętności szczegółowe, nawet na tak zwane umiejętności ścisłe. Materyaliści, chociaż sami mienią się przeciwnikami wszelkich idealizmów, ostatecznie jednak nauczyli się od Hegla pojawy światowe rozmaicie tłómaczyć i zamiast logicznie z wiadomych danych wnosić o niewiadomych, podobnie jak Hegel, wolą czynić niedorzeczne przypuszczenia. Mógł Hegel powiedzieć, że „byt" a „nic" to wszystko jedno, czemużby im nie wolno było głosić, że duch i materya to wszystko jedno? Mógł Hegel twierdzić, że nie ma żadnej innej rzeczywistości, jak tylko rzeczywistość absolutnego ducha, czemuż materyalista nie może przypuszczać, że obok rzeczywistości materyi nie ma żadnej innej rzeczywistości? Mógł Hegel sposoby widzenia rzeczy, sprzeciwiające się jego na świat poglądowi, nazwać niedojrzałością rozumu dziecinnego, czemużby materyaliści nie mieli prawa powiedzieć tego o wszystkich przypuszczeniach samoistności ducha, wolności woli, nieśmiertelności duszy? Dzisiejszy materyalizm można też śmiało uznać za wynik filozofii Hegla, wyższy o tyle od tej ostatniej, że się ogranicza na sferę zmysłowości a ze stanowiska racyonalizmu zaprzeczając wszelkiej nadzmysłowości nie chce o niej nic wiedzieć, uważa się zatem sam w sobie za coś niedoskonałego

a tem samem nie wprowadza tak w błąd, jak filozofia Hegla, nakazująca z dogmatyczną niemal pewnością wierzyć w te wszystkie aksyomaty niedorzeczne, jakie do wierzenia podaje. Jednakowoż przypatrując się tym pojawom uważniej, nie można nie spostrzedz, że tak Heglizmowi jak i materyalizmowi brak jest zdrowej myśli, prawdziwej logiczności, że dowolność, fantastyczność, zamiłowanie do marzycielstwa jest główną wadą jednego i drugiego.

Dlatego też nie ten przysłuży się ludzkości, kto niepomny na słowa wieszcza: „w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele“ samolubnie uważa materyalistów za idyotów, panteistów za szalonych, zaś siebie stawia niby doskonałość na piedestalu, lecz raczej ten kto bez wszelkiego uprzedzenia z dobrą wolą przystąpi do historyczno-krytycznego zbadania wszelkich objawów umysłowości, kto posługując się zdrowym rozumem, wykaże jak najdokładniej wszystkie nielogiczności, jakie znachodzą się w dziedzinie duchowej ludzkości. Albowiem trudno przypuścić, aby ludzie byli jakoby uosobieniem złego ducha, iżby się kochali w kłamstwie, wiedząc, że to jest kłamstwo; raczej przyznać należy, że błądzą z niewiadomości. Dlatego też należy stawiać im prawdę przed oczy, należy wykazać im braki ich sposobu widzenia rzeczy, należy wszystkie promienie wychodzące z prawdy napowrót za pośrednictwem soczewek w jedno skupić ognisko, aby na wzrok ich duszy tem silniej działały— a najodpowiedniejszemi soczewkami będą niezawodnie zdrowy rozum i zdrowe myślenie.

Jeżeli marzycielstwo, fantazowanie, pływanie po obłokach, melancholiczne, histeryczne sprowadziło filozofię do bankructwa, niemocy, obojętności a za filozofią i umiejętności szczegółowe, jak n. p. przyrodnicze, wprowadziło na pole nieskończonych przypuszczeń i hipotez, z których wydostać się nie mogą—to najwięcej zaszkodziła ta chorobliwość, historyi.

Klasycy chcący historyę wtłoczyć chociażby gwałtem w formuły i prawa przyrodzenia usiłowali ubiegłe ludzkości dzieje tłumaczyć z góry według takichże form i praw, a jeżeli rzeczywistość historyczna tymże formom i prawom kłam zadawała, posiłkowali się krytyką, która, jak słusznie Cieszkowski (*Ojcze nasz* s. 10 11) powiada, niewątpliwie zaskarbia sobie zasługi dopóty, dopóki się sama tylko za przygotowawcze postępowanie, za przejście do wyższego stanowiska poczytuje, t. j. dopóki rozprowadza z pochodnią światła po owych stosunkach, które dotąd na oślep zwykliśmy przyjmować, bo krytyka jest dopiero sędzią śledczym w procesie historyi a nie wielkim sądem przysięgłych; lecz skoro tylko krytyka zamiast rozsądzać i dociekać, zaczyna przesądzać i w domysły się zaciekać, i domysły te za wyroki podawać — sama siebie przekracza, przesila i w sobie rozpada — ostatecznie nie przedrze ani rozpędzi świętej atmosfery ludzkiego ducha i napróżno kusić się będzie piętrzyć dowody nad dowodami, wytężać sprzeczności przeciw sprzecznościom i wnioski z wnioskami kojarzyć, aby obnażoną z owych niby mistycznych lub symbolicznych powłok rzeczywistość na pręgierzu oschłej erudycyi przedstawić oku mędrkującej gawiedzi. Niestety nowsza i najnowsza krytyka historyczna poszła tą ostatnią drogą; to co udowodnić miała, stawiano już z góry jako pewnik niewątpliwy, a zadaniem tej krytyki miałoby być tylko staranie za pomocą użycia różnych sposobów i sposobików tak uszykować i przedstawić rzeczywistość, iżby ostatecznie ów pewnik niewątpliwy w najpełniejszem świetle się znalazł, a fakta, któreby go nie stwierdzały lecz raczej o jego prawdziwości wątpić kazały, aby o ile możności całkiem pominąć, jako nie zasługujące na wzmiankę lub przynajmniej tak uporządkować i ustawić, iżby inaczej się wydawały i w innem świetle się przedstawiały. Temi idąc drogami doprowadzono do tego, że w historyi nie szukano tego, co rzeczywiście było, lecz tego, co być powinno, gdyby była prawdziwą idea historyczna, której historyk hołduje, czyli innemi mówiąc słowami, opowiadano w historyi o tem, czego nigdy nie było. Wiarogodnemi świadectwami popartym faktom historycznym usiłowano tym sposobem zaprzeczyć, że świadectwa za podejrzane uznano, a znów z drugiej strony marzenia poetyczne nie mające żadnego poparcia historycznego, uznawano za fakta historyczne.

Szczególnie historya starożytna bywa z bardzo mylnego stanowiska przedstawianą; powiedziano sobie, że ludzkość helleńska sama z siebie przyszła do cywilizacyi helleńskiej, i że oryent dopiero później zaznajomił się z duchem Hellady — i tak być musiało. Wprawdzie starzy Helleni inaczej się na oryent zapatrywali: Herodot, Plato i inni twierdzą wyraźnie, że wszelką wiedzę zaczerpnęli ze Wschodu, to samo przekonanie o Grecyi miał i Wschód, albowiem Herodot (II. 2) opowiada nam, że Egipcyanie obok Frygów uważali się za najstarszy lud świata i za najmądrzejszy, a Greków mieli jakoby za synów swoich; lecz wszystko to nic nie znaczy, Helleńska cywilizacya musi być oryginalną, jak skoro historyk taką ją mieć pragnie.

W obec tak pojmowanej historyi nie można nic innego zdziałać, jak tylko opierając się na prawdzie i rzeczywistości historycznej, ze stanowiska zdrowego rozumu założyć *veto* przeciw takiemu jej fałszowaniu i przedstawić rzeczywisty stan rzeczy, gdyż ostatecznie musi prawda zwyciężyć; albowiem o dogmatycznem pokonaniu hellenizmu, jako pierwiastku po dziś dzień w życiu umysłowem rej wiodącego, dopiero wówczas mówić będzie można, gdy historya wykaże i udowodni, raz że hellenizm nie jest oryginalnym płodem ludzkiego ducha, lecz że jego źródła w oryencie szukać należy, a powtóre, że i poglądy ludów oryentalnych są ostatecznie tylko promieniami różnymi z jednego i tego samego słońca płynącymi.

Z tego sposobu widzenia rzeczy wychodząc przedstawię w tej pracy Pitagorasa i wskażę stanowisko, jakie ten wielki mąż w dziejach cywilizacyi zajmuje.

(C. d. n.)

Wystawa sztuk pięknych we Lwowie.

III.

Trzy obrazy wielkich rozmiarów przysłała nam tego roku zagranica. Zacznę od obrazu, w którym najwięcej duszy. Jest to Emilii Helon (w Wiedniu): „*Idylla.*“ Kobieta naturalnej wielkości usiadła w cieniu drzew. Zaledwie kilka gałązek po nad nią zwisłych dodała artystka dla urozmaicenia obrazu, w którym nic zresztą—prócz przepysznego modelu kobiecego. Ramiona i część piersi obnażono, koszulka opadła prawie aż do stanu, suknia modrego koloru w harmonijnych i poważnych fałdach spływająca zapełnia dół obrazu. Twarz oparła na jednej ręce, druga spoczęła na kolanie. Złote warkocze zwieszają się bujnie ku ziemi przez owal utwo-

rzony oparciem głowy o rękę. Modelowanie nagich ramion i całego ciała w rozmiarach potężnych, bo naturalnych, zarówno wystudyowane anatomicznie, jak wykonane delikatnie, miękko i łagodnie; formy i linie spływają się z rzadkim wdziękiem i powagą, koloryt jedwabny, eteryczny, jakąś mgłą ossyańską powinięty, twarz i postać cała wyzierają z po za gazy lekkiego, ale rozkosznego rozmarzenia. Widać, że to szczęśliwa marzycielka; nie ma bolu w twarzy, i owszem patrzy z niej spokój duszy, marzenie refleksyjne i ta pewność, że kochanek nie zdradzi. Całe malowanie okazuje wytworne poczucie formy i kolorytu. Artystka jest w swem dziele idealistką, pomysł ma wiele poezyi, a wykonanie gracyi. Znać wpływ i szkolę greckich wzorów, te linie smukłe i regularne mają klasyczne piętno i powagę rzeźby. Cały model jest spokojnie odmalowanym, ale siła jego ułagodzona znowu miękkością właściwą romantyzmowi. Najmniej regularności ma sama twarz i jest już nazbyt po niemiecku sentymentalną. Wszystko to razem daje czulą i poważną sielankę, w ktorej zestraja się potęga linii klasycznych z echem sztuki chrześcyańskiej, miększej, wcielonej w romantyzm. Nawet koloryt unika jaskrawości barw; efekta jego polegają nie na kontrastach, ale na sile pędzla. Zawsze jednak trzeba mieć w sobie trochę helleńskich upodobań, aby zasmakować w tem malowidle.

Ciekawym i dramatycznym pomysłem odznacza się D a r i n a (w Tryeście): *„Podpalaczka, scena z rządów komuny paryzkiej.“* Obraz wielkich rozmiarów z dostatkiem powietrza, szerokim widokiem i bogatą dekoracyą architektoniki. Na przodzie przy rozrzuconej barykadzie grupa dzika i pełna odrażającej grozy, którę tylko łagodzi dobre malowanie. Na pół obnażona Megera, ulicznica żyjąca widocznie kradzieżą i bezwstydem, z twarzą zezwierzęconą i z butelką petroleum w ręce, broni się zaciekle kilku żołnierzom francuzkim, nacierającym nań z bronią... Z boku podnosi na nią rękę jakiś widocznie konserwatywny *„bourgeois,“* któremu mniej chodzi o płonące Tuilleryе, ile o naruszoną ideę porządku. Zresztą na obrazie dokoła pełno dymu i gruzów, ludzi bieżących na ratunek budynkom w ogniu — spokojnie tylko i poważnie wznosi się po nad sceną fronton Magdaleny z jej grecką kolumnadą. Zamiar, jaki miał artysta malując swój obraz, osiągnięty — wrażenie dokonane a jest wstrząsającem, szerszych motywów w obrazie nie ma, wszystko jest obrachowane na skutek bezpośredni, zewnętrzny, ściśle zmysłowy. Więcej myśli, jakkolwiek i tu już nie wiele oryginalności, jest w tej dziewczynce, która objąwszy prześladowaną matkę, chciałaby ją wyrwać z rąk gwardzistów... konwencyonalne to, chociaż ładne. Ugrupowanie postaci zdradza umiejętność i rutynę, styl poważny, koloryt silny, braknie mu jednak piętna delikatniejszego artyzmu i cieplejszego tchu duszy. Szkoła niemiecka dzisiejsza obfituje w podobne dzieła o poprawnym rysunku i dobrej kompozycyi, ale bez fantazyi i polotu duchowego. Naturalizm i prozaiczne opracowanie obieranych przedmiotów są ich cechą.

Wyższą ma wartość M. H a u s c h i l d a: *„Modlitwa klasztorna.“* Cała scena nie ma wprawdzie głębszej i nowej treści, ale niezwykła wprawa pędzla, zestawienie kontrastów światła, rysunek poprawny, malowanie jędrne, zdrowe, unikające półśrodków nadają znaczenia artystycznego temu obrazowi. W jakimś górnym krużganku o pomięszanej architektonice przed ołtarzem z kamienia wyciosanym modli się grupa mnichów, jaskrawo oświeconych czerwonym odblyskiem lampy. Na przodzie przeor — za nim dwóch braciszków. Przez drzwi wiodące na balkon widno błękit nieba osrebrzony księżycem i wodę muskaną delikatnie jego odblaskiem. Ten krajobraz nocny, złożony tylko z gry światła i cienia jest najświetniejszą częścią obrazu — ma siłę i głębokość oświetlenia Rembrandtowskiego. Twarze mnichów malowane z prostotą, nie pozbawioną siły, mają wiele naturalnej w sobie prawdy. Przeor jest typem utartym, ale twarz jednego z braciszków ma piękny wyraz szczerej extazy. Część architektoniczna obrazu wykonana starannie, gładko i delikatnie. Jest to obraz jednoczący w sobie śmiałe efekta i pełny koloryt, przymioty francuzkie, z powagą stylu niemieckiego.

Malarstwo nasze ma więcej w sobie czułości, poezyi i subtelnego poczucia natury. Popatrzmy na A n t K o z a k i e w i c z a (w Monachium): *„Sierotę.“* Nie ma na obecnej wystawie drugiego obrazu, w którymby tak trafnie i tak prawdziwie pochwyconą była dusza natury, jak ten właśnie. Jest to krajobraz wiejski — po deszczu. Jakże tu jednak czuć własnie to podeszczowe powietrze, tę wilgoć zawierającą od tych szerokich pól, odświeżonych, odmłodzonych ciepłą rosą obłoków. Prześlicznie jest malowany rąbek niebiosów, już na samej kończynie horyzontu. Całe niebo jeszcze jest powleczone chmurami, które wylawszy ze siebie strugę wody, już odpływają (czuć to po nich!), a na końcu wyziera już cząstka błękitnego nieba, wyłaniającego się nieśmiało z za obsłony chmur, o barwie jednak bardziej zielonawej, mokrej, jak zwykle po deszczu. Dolny krajobraz otulony już mrokiem — tylko moczary, odbijające w sobie ów zielonawy kolor firmamentu, stanowią przejrzyste smugi wśród ciemnej, zmoczonej i nieco obłoconej zieloności pól. Poezya w tem niezrównana! kontrast walczących ze sobą dwóch potęg natury — padającego zmroku i ostatnich uśmiechów dnia przeprowadzony z wykwintną delikatnością. Do oddalonej wioski prowadzi od pierwszego planu obrazka błotnista droga — i nią to idzie heroina obrazu, młode, wiejskie dziewczę, bose, w koszulce i płowej spodniczce, w jednem ręku garść kłosków uzbieranych, w drugiej leniwo wlokący się po ziemi — słonecznik. Profil jej twarzy odbija się bardzo kunsztownie na owej właśnie jasnej, modrej cząstce nieba; wyraz oblicza bardzo poczciwy, serdeczny, pełny smętnej prostoty. Ale w tej dziewczynie czuć także samodzielność i siłę — nikt jej w życiu nie pielęgnuje, sama włada sobą, jak ta cudna Fanchon Vivieux u pani Sand. Wśród tego wonnego pola ma również kształt i woń kwiatka, podlewanego tylko rosą nieba. Cała jej zresztą smukła postać bardzo piękna—nagie nóżki ładne i kształtne. Wszystko się mimowolnie złożyło na śliczną, harmonijną całość — nawet i ten pies wyborny, zmoczony deszczem, postępujący przodem swej pani ze zwieszonym ogonem — typ zwierzęcy uderzający prawdą i—uczuciem.

P. S. B o r k o w s k i (w Monachium) gdyby się przypatrzył tej harmonii pełnej wdzięku i tej potędze duszy, która jest na obrazie Kozakiewicza, nie byłby popełnił obrazu w kompozycyi tak pospolitego, a w wykonaniu tak dziwacznie niezdarnego, jak są jego: *„Sieroty.“* Jest to chyba bardzo jeszcze początkowe studyum. Pominąwszy zupełny brak uczucia i delikatniejszej poetyczności w pomyśle, brak logiki w perspektywie, brak wszelkiej prawdy i uzasadnienia w kontrastach światła, uderza i zadziwia układ grup nie artystyczny, rysunek figur nieudatny, a malowanie owych biesiadujących w knajpie czy w piekle (?) mieszczan odrażające. Zaledwie jedna dziewczyna z podniesioną za groszem ręką odznacza się szlachetniejszem poczuciem linii.

Znowu obraz wielkich rozmiarów M. A. G o l l e w s k i e g o: *„Rumunka przy studni.“* Obraz ten wywołał bardzo pochlebne, a czasem extatyczne sądy krytyki wiedeńskiej, gdzie był na wystawie. Uderzają w nim natu-

ralizm i czerstwość, malowanie jędrne i soczyste. Dziewczyna wiejska w naturalnych rozmiarach, hoża, zdrowa i okraszona różaną powłoką rumieńca stoi przy studni z dzbankiem wody, który postawiła na cembrowinie — i marzy swobodnie, wesoło... Twarz pełna, oko błękitne, uśmiech obok mgły rozmarzenia, piękność naturalna, wieśniacza, gruba, włosy jasne, cera pełna życia i mięsistości, stanowią całość bardzo prawdziwą, w której właśnie prawda stanowi piękno. Znaczne tylko błędy w rysunku nosa i rąk, którym nie zarzuciłbym grubości, ale bezkształtność, fałszywe uchwycenie stosunku pojedyńczych części. Miły i śmiały kontrast z jej uśmiechniętym, swobodnym wyrazem twarzy stanowi posępne tło otaczającej przyrody. Jest to przedburze; czuć ruch przyspieszony, gwałtowny atmosfery, niebo przerażająco ciemne, a droga wiodąca w górę ku folwarkowi długa. Czemu ta dziewczyna nie boi się burzy, nie uchodzi przed czasem? Na to daje odpowiedź energia charakteru, odbita w jej twarzy. Cienie pełne i silne, atmosfera gorąca. Jest to bez wątpienia jeden z najlepszych obrazów wystawy.

Arcydzielkiem w swoim rodzaju jest Wilhelma Leopolskiego: *„Protazy.“* Rodzajowy obrazek mistrzowski, choć prawie tak mały, jak miniatura. Nie umiem sobie wystawić inaczej tego Mickiewiczowskiego palestranta, kiedy

...Wszedł cicho do sieni,
Siadł przy świecy i dobył książeczkę z kieszeni,
. . . .
Była to trybunalska wokanda.

Czupurna zamaszystość i szczerze polska natura tego zaginionego dziś typu znalazły w p. L. pełnego intuicyi przedstawiciela. Jego Protazy nikomu kroku nie ustąpi — to mu znać z twarzy. A cóż za wyrazistość i prawda w ostrych rysach, w tej pożółkłej a przecież czerstwej twarzy „ostatniego woźnego trybunału“ — przeszłość tu pochwycona w biegu i zaklęta na płótnie, aby typ tak rdzennie polski nie przepadł w pamięci. Koloryt obrazu jest bardzo sztuczny, oświetlenie aż prawie w odcień pomarańczowy wchodzące nie ma pomimo tego wstrętnej cechy szukania za niezwykłymi efektami — owszem jest zupełnie naturalne i dobrze wyzyskane. Obok tak prawdziwej i szlachetnej interpretacyi Mickiewiczowskiego typu wydaje się *„Protazy“* W. Eliasza, figurą pozbawioną polskiej natury, godności i charakteru, a modelowanie niektórych części, jak n. p. ręki, jest zupełnie chybione, nawet wstrętne.

Jest i drugi równie miły obrazek W. Leopolskiego: *„Krowa u wrót.“* Treść uboga — tytuł powiada wszystko. Ale jest bardzo wiele szczerego wdzięku w tem pozornem ubóstwie. Tchnienie poetyczne osiadło i na tym kłębie drzewa w dziedzińcu zagrody i na tym roztrzaskanym pniu obok drogi i na tem cichem gnieździe bocianiem... Fantazya jasna, ujęcie motywów plastyczne, układ harmonijny, władanie farbami bardzo subtelne i delikatne — krowy nie powstydziliby się Jacque ani Róża Bonheur...

Obrazek Benzy (w Wiedniu): *„Bitwa“*, w rodzaju Meissoniera, odznacza się oryginalnym, niby srebrną pajęczyną narzucanym kolorytem i rycerskością tonu.

Na przyszły raz zostawiam jeszcze krajobrazy, portrety i rzeźbę.

Przegląd literacki.

Koerner Prof. Fr. Die Aufgabe der Schule im Deutschen Reiche. Psychologisch-paedagogische und socialpolitische Abhandlungen ueber das Schul- und Culturleben der Gegenwart. Für Schulmaenner, Eltern und Volksvertreter. Leipzig. A. Oemigke. 1872. St. 337. 8vo.

Dzieło, które mamy przed sobą, obejmuje szereg rozpraw dydaktyczno-pedagogicznych niemieckiego patryoty-pedagoga, który przejęty doniosłym wpływem szkoły na całe społeczne i polityczne życie narodu, w tem słusznem przekonaniu, że nie fizyczna lecz moralna potęga zdoła zapewnić zjednoczonym Niemcom przewodnictwo wśród ucywilizowanego świata, podaje wpływowym stanom swe spostrzeżenia i rady ku większemu jeszcze podniesieniu niemieckiej oświaty, które jednak jako zasadzające się na prawach natury ogólno-ludzkiej, wszędzie zastosować się dadzą.

Głęboko wykształcony autor, znany w piśmiennictwie niemieckiem z niezwykłej literackiej płodności, usiłował już w wydanym niedawno systematycznym wykładzie pedagogiki [1]), zbudować tę naukę wyłącznie na zasadach fizyologicznych i psychologicznych. Myśl to wcale nie nowa, gdyż i najliczniejsza dziś szkoła filozoficzna Herbarta z wielką słusznością opiera pedagogikę na psychologii, która znów bez fizyologii pozbawioną byłaby swej głównej podstawy. Wszakże gdy nowszy realizm wychodzi ze stanowiska dualizmu, uważając duszę za zupełnie odrębną od ciała istotę, zostającą z niem tylko we wzajemnej zależności, staje Koerner na gruncie monizmu i wraz z materyalistami utrzymuje, że dusza jest jedynie wytworem pewnych mechanicznych działań nerwów, spływających w mózgu. Tem jednak odbiega zasadniczo od materyalizmu, że przypisuje duszy ludzkiej w przeciwieństwie do zwierzęcej zdolność potęgowania się, dozwala jej stawać się w człowieku „duchem“, który sam z siebie stwarza świat ideałów: piękna, dobra i prawdy [1]).

Jakkolwiek tedy autor przyjmuje, że „dusza“ stając się w danych warunkach organizmu „duchem“, zdolną jest do samodzielnych niezależnych od materyi działań, to przecież uważając „duszę“ za podstawę „ducha“, w najgłówniejszym punkcie zgadza się z materyalistami, tylko, że nie wyprowadza ztąd takich, jak oni, wniosków. Koerner, nie będąc z zawodu fizyologiem, polega w tej mierze bezwzględnie na badaniach najznakomitszych fizyologów — ponieważ jednak sam nie bada, czy twierdzenia tych uczonych co do związku fizycznych a psychicznych działań, poparte nawet licznymi przykładami, są istotnie ściśle uzasadnione, czy też nie świadczą tylko o wzajemnej duszy i ciała zawisłości — jak to krytycznym rozbiorem najnowszych badań fizyologicznych dowodnie wykazał znakomity filozof H. Ulrici [2]), jeden z najwybitniejszych przedstawicieli idealno-realnego kierunku w dzisiejszej filozofii — więc usiłowanie jego, opar-

[1]) *„Unterrichts- und Erziehungskunst, nach physiologisch-psychologischen Gesetzen und den Forderungen des Culturlebens.“* Pest, Heckenast 1870.

[1]) Zapatrywanie to, rozwija autor w szczególności w najnowszem swem dziele: *„Thierseele und Menschengeist.“* Lipsk 1872 — gdzie w ten sposób stara się zjednoczyć materyalizm z dualizmem. Pracę tę uważa sam autor słusznie tylko za „próbę“.

[2]) *„Gott und der Mensch.“* I. *„Leib und Seele.“* Leipzig 1866, i *„Gott und die Natur.“* 2 Aflg. Leipzig 1866.

cia w zasadniczej kwestyi pedagogiki na fizyologii, pozostać może tylko usiłowaniem.

Na tych samych podstawach opiera się autor i w powyższem dziele, którego najsłabszą stroną jest właśnie to materyalistyczne tłómaczenie objawów psychicznych. Wszelako zakrój jego materyalistyczny bynajmniej nie ujmuje wartości całemu dziełu — owszem podobnie jak i pedagogikę autora o tyle wysoko cenić musimy, o ile przemawia z niej mąż do głębi znający naturę ludzką i doświadczony w swym zawodzie, tak też i tym rozprawom, którym jednak nie brak jednolitej łącznej myśli, to największej nadaje wartości, że zawierają bogaty zasób praktycznych spostrzeżeń myślącego nauczyciela, odnoszących się do sposobu udzielania nauki i wychowania w szkołach młodzieży. Autor nie rozwija tu żadnych oderwanych teoryi, z jakiemi się często w ściśle filozoficznych dziełach spotkać można, a które w zastósowaniu najczęściej chybiają celu, lecz podaje wprost z rzeczywistości brane rady, których skuteczność własną już stwierdził praktyką. Lecz i one wymagają oprócz zupełnego oddania się swemu zawodowi, ze strony nauczyciela również wielkiej znajomości duszy ludzkiej w stopniowym jej rozwoju. Głównie przeto ku temu zmierza autor, by do tych niezbędnych studyów nakłonić gorliwych i pojmujących wielkie swe zadanie nauczycieli, sam zaś na podstawie czterdziestoletniej swej praktyki nauczycielskiej najtrafniejszych w tym względzie dostarcza im wskazówek. Jak pobudzać najmłodszy już umysł do m y ś l e n i a, nawet gdy mu się podaje koniecznie zrazu empiryczne wiadomości; jak rozwijać u c z u c i e, które we wszystkich naszych czynnościach najpotężniejszym jest czynnikiem, gdyż pasując się z rozsądkiem najczęściej z walki tej zwycięzko wychodzi; jak wykształcać w o l ę, na której wyłącznie charakter spoczywa, jak wreszcie przywieść można do harmonii trzy te główne pierwiastki, stanowiące istotę człowieka — na te i inne ściśle z niemi złączone najważniejsze zagadnienia w wychowaniu, znachodzimy w dziele tem trzeźwe i bystre odpowiedzi, z szczególnem uwydatnieniem braków, jakie w tej mierze we wszystkich zakładach wychowawczych dziś widzieć się dają.

Wszelako najlepsi nawet dydaktycy i pedagogowie tylko połowę dzieła uskutecznią, jeżeli szkoła nie stanie na stanowisku obecnego postępu nauk. Niezaprzeczoną jest bowiem rzeczą, że dziś, gdy wiedza tak wielkie czyni postępy, szkoła jest najbardziej konserwatywną, najwięcej przechowuje przesądów, tak szkodliwie na dalsze życie oddziałujących. Dla tego też usilnie przemawia autor za wykluczeniem z planu nauk szkolnych tych przedmiotów, które martwym swym materyałem przytępiają tylko młode umysły, a zastąpić je takimi, których znajomość w realnym kierunku wieku naszego do praktycznego życia staje się niezbędną.

Ze względu na te wymogi obecnej chwili, podnosi autor szczególniej społeczno-polityczne znaczenie szkół realnych i proponuje taką ich reformę, by w przeciwieństwie do gimnazyów, których zadaniem jest głównie przygotowywać do późniejszych specyalnych na chleb studyów, szkoły realne nadawały w t. z. realiach stanowi średniemu (*Bürgerstand*) ogólnego wykształcenia i sposobiły go do publicznego i politycznego życia, tem bardziej, że nowszy konstytucyjny ustrój państw, do tego obywateli powołuje.

W ogóle rozbiera autor w pomienionem dziele najżywotniejsze kwestye pedagogiczne i uwzględnia ich stosunek do problematów społecznych. O szkołach ludowych, o reformie seminaryów nauczycielskich, o kwestyi wykształcenia kobiet i społecznej jej stronie, o wpływie szkoły ludowej na kwestyę socyalną, traktują osobne rozdziały. Zdania swe i poglądy, wynikające z głębokiego zastanowienia się i rozważenia przedmiotu, wypowiada autor śmiało i bez ogródek, nie tając tego, co niejeden nauczyciel dobrze czuje, lecz związany publicznem stanowiskiem, waha się wygłosić. Czyni zaś to w imię szczytnej zasady, przebłyskującej z wszystkich prawie słów jego, że każda umiejętność wychodzić winna ze stanowiska wolnego, nie uprzedzonego, żadnymi względami nie krępowanego badania.

Dziś szczególniej, gdy hasło „oświaty ludowej“ rozlega się po ziemiach naszych, książka, mieszcząca w tym względzie tyle trafnych i cennych uwag i dla naszych nauczycieli wiele pożyteczną być może, zwłaszcza, że autor, jako profesor akademii handlowej w Peszcie, z organizacyą austryacko-węgierskich szkół dobrze jest poznajomiony i nigdy jej nie spuszcza z uwagi. Popularny, jasny i jędrny wykład, czyni ją przystępną dla każdego, ktokolwiek do poważniejszego czytania jest zdolny.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

PRAWO. *Roszkowski Gustaw dr. O życiu Fryderyka Savigny.* Warszawa. S. Orgelbrand 1872. Znakomity ten prawnik, jak się z życiorysu jego pokazuje, wiele był pomocnym Niebuhrowi w opracowaniu tegoż wiekopomnej historyi Rzymu.

— Właśnie wyszła w Krakowie pierwsza część dzieła: „*System prawa narodów*,“ przez dr. *K. B. Szczanieckiego*, obejmująca: „*Rys rozwoju prawa narodów.*“ Jest to zestawienie pojęć prawa publicznego, jak te w różnych czasach wpływały na traktaty międzynarodowe i na stan instytucyi politycznych.

NAUKI PRZYRODNICZE. *Stella-Sawicki Jan dr. Obrazy wszechświata. Astronomia i geologia popularna.* Z 60 drzeworytami w tekscie. Lwów. Nakładem autora 1872. Dzieło świeżo wyszło z druku. Treściwy i gruntowny wykład nowszych odkryć na tem polu naukowem.

TEATR i SZTUKI PIĘKNE. (*Br. Z.*) We środę (d. 17 b. m.) przedstawiono na *scenie lwowskiej* 5-aktowy dramat W. Sardou: „*Serafina.*“ Pomysł wznowienia tego cennego utworu był szczęśliwy. Autor francuzki rozwija w nim szeroką myśl obyczajową, wskazując z powagą i humorem na wszystkie zgubne dla społeczeństwa skutki fałszywej bigoteryi, imającej się form religijnych bez przesiąknięcia istotą chrześcyańskiej moralności. Kilka wybornie nakreślonych typów, sytuacye wysoko dramatyczne, dyalog żywy, pełen ducha i wysokiego dowcipu, jakkolwiek rozwiązanie na błędnym stawiące rzecz punkcie, każą zaliczać ten utwór do najlepszych i najpoważniejszych dramatów nowoczesnych. Wykonanie było wzorowe. Pani Aszpergerowa (Serafina) oddała tę postać szlachetnie i prawdziwie, a tragiczna scena u Montignaca uderzała potężną siłą uczucia i rozpaczy. Nieskończenie piękną była gra panny Deryng (Sylwia); zarówno pełna prostoty naiwność dziewiczego umysłu, jak potem wszystkie fazy okropnej walki tragicznej, jaką przebyć musi młode dziewczę, w takich położone stosunkach, oddane były z rzadką subtelnością i czułym kolorytem. Wzruszającą scenę między matką a córką w akcie 3cim wykonały obie nasze znakomite artystki w sposób mistrzowski. Na zupełne uznanie zasługują pp. Dobrzański (baron de Rosanges), Woleński (Robert), Kwieciński (Plantrose), a szczególnie p. Linkowski (Chapelard), który jest w tej sztuce wybornym, byle w kilku jeszcze miejscach pojął charakter delikatniej i zachował właściwą miarę. P. Królikowski (Montignac) nie miał godności i posągowej siły, w jaką ubrały jędrnego marynarza lata cierpień i abnegacyi, a w scenie, gdy ma córkę u siebie, był raczej wykradającym pannę rozpustnikiem, aniżeli poważnym, łzawym ojcem. — Wczoraj (d. 19 b. m.) debiutowała po raz drugi w wesołej komedyjce pani Weissenthurn: „*Popis malarza,*“ panna *Wolska*. Kiedy już mowa o debiutach, spytamy dyrekcyę, co się dzieje z panną *Lewicką*, która niedawno tak powszechnie i niezwykle się podobała, a dotąd nie wiemy, czy jest angażowana?

Właściciel i wydawca: Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedzialny: Zygmunt Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.